

POWIEŚĆ ZAINSPIROWANA MUSICALEM **DEAR EVAN HANSEN**



DROGI EVANIE HANSENIE

VAL EMMICH
ORAZ
STEVEN LEVENSON,
BENJ PASEK I JUSTIN PAUL,
TWÓRCY MUSICALU

VAL EMMICH

ORAZ

STEVEN LEVENSON, BENJ PASEK | JUSTIN PAUL,

TWÓRCY MUSICALU

DROGI EVANIE HANSENIE

TŁUMACZENIE AGA ZANO

moondrive
KRAKÓW 2019

Tytuł oryginału: *Dear Evan Hansen*

Copyright © 2018 by Steven Levenson, Benj Pasek, Justin Paul.

All rights reserved.

Lyrics from *Requiem* and *Only Us* used by permission. All rights reserved.

Words and Music by Benj Pasek and Justin Paul

© 2015 Pick In A Pinch, and Breathelike Music

Administered Worldwide by Kobalt Songs Music Publishing

Copyright © for the translation by Aga Zano

Opieka redakcyjna: Natalia Karolak

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: Ewa Polańska Kropka

Cover art copyright © 2018 by 3d_molier International/TurboSquid

Cover design by Sasha Illingworth

Cover copyright © 2018 by Hachette Book Group, Inc.

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Nikola Hahn

ISBN 978-83-7515-556-3

moondrive

www.moondrive.pl

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Wyszedłem.

Lepiej spłonąć, niż się po prostu rozpląnąć, nie? Kurt Cobain tak napisał w swoim liście. Widziałem taki filmik o różnych sławnych ludziach. Ernest Hemingway. Robin Williams. Virginia Woolf. Hunter S. Thompson. Sylvia Plath. David Foster Wallace. Van Gogh. Nie porównuję się do nich, serio. Oni coś po sobie zostawili. A ja? Nic nie osiągnąłem. Nie byłem w stanie nawet napisać listu.

„Spłonąć” to dobre określenie. Dzień po dniu czujesz, że robi ci się coraz goręcej. Wszystko parzy, aż w końcu nie wytrzymujesz. Przecież nawet gwiazdy nie są wieczne. Przychodzi taki moment, że sobie powoli gasną albo eksplodują, tylko że jeśli spojrzeć w niebo, to nigdy byśmy się nie domyślili. Wydaje się nam, że wszystkie dalej są na swoim miejscu, choć tak naprawdę one już dawno zniknęły. Ze mną chyba jest teraz tak samo.

Moje imię – to ostatnie, co napisałem. Nabazgrałem wielkimi literami jakiemuś chłopakowi na gipsie. Trudno to nazwać listem pożegnalnym, ale jakiś tam ślad po mnie został. Na złamanej kończynie. Bardzo poetyckie, jak tak o tym pomyśleć. No a teraz już nie pozostaje mi nic poza myśleniem.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

Drogi Evanie Hansenie,

tak zaczynam wszystkie swoje listy. Najpierw „Drogi”, bo tak się pisze na początku każdego listu. Wszyscy tak robią. Potem imię i nazwisko osoby, do której się zwracamy. W tym przypadku to ja. Piszę do siebie. Więc mówię „Drogi Evanie Hansenie”.

Evan to tak naprawdę moje drugie imię. Mama chciała nazwać mnie Evan, a tata Mark, po sobie samym. Tata zwyciężył w bitwie – przynajmniej tak wynika z aktu urodzenia – ale to mama wygrała wojnę. Nigdy w życiu nie zwróciła się do mnie inaczej niż „Evan”, a w rezultacie tata też był do tego zmuszony. (Uwaga, spoiler: moi rodzice już nie są razem).

Jestem Markiem tylko na prawie jazdy (z którego nigdy nie korzystam), kiedy wypełniam podania o pracę albo pierwszego dnia szkoły, tak jak dzisiaj. Nowi nauczyciele przy sprawdzaniu obecności wołają „Mark”, więc muszę potem prosić każdego z osobna, żeby zwracali się do mnie drugim imieniem. Oczywiście z wyjaśnieniami muszę odczekać do końca lekcji, aż wszyscy sobie pójdą.

Mógłbym wymienić milion dziesięć rzeczy, które każdego dnia działają mi na nerwy – od zjawisk na poziomie subatomowym po skalę kosmiczną. Moje inicjały są jedną z nich. M.E.H. Napisać „meh” to jak wzruszyć ramionami. Z taką reakcją społeczeństwa zresztą stykam się najczęściej. To przeciwieństwo zaskoczonego „och”. Zachwyconego „ach”. Zamyślonego „hmm”. Nie dorównuje nawet przytakującemu „aha”. „Meh” wyraża czystą obojętność. Tak albo siak, wszystko jedno. Nikogo nie obchodzisz. Mark Evan Hansen? Meh.

Wolę myśleć o sobie „eh”, co może brzmieć jak pytanie, czekanie na potwierdzenie. Na przykład: Słyszeliście o tym Ewanie Hansenie? Eh?

Mama mówi, że typowe ze mnie Ryby. W horoskopie ten znak zazwyczaj jest przedstawiany jako para ryb płynących w przeciwnych kierunkach. Mama naprawdę wierzy w te astrologiczne bzdety. Zainstalowałem jej w telefonie aplikację pokazującą horoskop na każdy dzień i teraz zostawia mi w całym domu karteczki z wiadomościami w rodzaju: nie bój się dziś zaryzykować. Albo wplata codzienne mądrości w rozmowę: podejmij wyzwanie. Propozycja nowego przedsięwzięcia biznesowego zapowiada się obiecująco. Jakby mnie ktoś pytał, to wszystko straszne farmazony, ale przypuszczam, że mama znajduje w nich trochę nadziei i jakieś wskazówki, co ze sobą robić. Czyli chyba spełniają taką samą funkcję co moje listy.

A skoro już o tym mowa – po powitaniu następuje właściwa część listu, czyli treść. Zawsze zaczynam od takiego samego wstępu:

Dziś będzie wspaniały dzień. Oto dlaczego:

Pozytywne nastawienie gwarantuje pozytywne doświadczenie. Taki jest cel całego zadania z pisanem listów.

Z początku próbowałem się wymigać. Powiedziałem doktorowi Shermanowi:

– Nie sądzę, żeby list do siebie samego w czymkolwiek mi pomógł. Nawet bym nie wiedział, co napisać.

Terapeuta się ożywił i wychylił ze skórzanego fotela, zamiast jak zwykle zapaść się głębiej w siedzenie.

– Nie musisz wiedzieć. Właśnie o to chodzi w tym ćwiczeniu. Ono ma służyć odkrywaniu samego siebie. Mógłbyś zaczynać od czegoś w rodzaju: „Dziś będzie wspaniały dzień”, a potem wyjaśnić dlaczego. I zobaczysz, do czego cię to zaprowadzi.

Czasami wydaje mi się, że terapia to kompletna ściema. A czasami myślę sobie, że prawdziwy problem tkwi właśnie w moim sceptycyzmie.

No, nieważne. Ostatecznie postanowiłem zastosować jego radę dosłownie. (Przynajmniej jeden problem z głowy). Reszta listu jest już bardziej skomplikowana. Pierwsza linijka zawiera tylko tezę, a w następnej części trzeba ją uzasadnić i rozwinąć własnymi słowami. Muszę wykazać, dlaczego dzisiaj będzie wspaniały dzień, mimo że cały zgromadzony dotychczas materiał dowodowy wskazuje na coś przeciwnego. Każdy dzień jak dotąd był wybitnie niewspaniały, więc dlaczego mam wierzyć, że ten będzie inny?

Szczerze? Już dawno straciłem nadzieję. Czas zatem odpaścić silnik wyobraźni i upewnić się, że każda najmniejsza molekula kreatywności w moim mózgu jest gotowa do współpracy. (Do napisania przekonującej przemowy motywacyjnej potrzebna jest cała molekularna wioska).

**Dlatego, że dziś musisz tylko być sobą. I już.
Tylko bądź pewny siebie. To ważne. I jeszcze
interesujący. Rozmowny. Przystępny.
Nie chowaj się, spróbuj obnażyć się**

**trochę przed innymi. Nie jak zboczeniec,
nie rozbieraj się. Po prostu bądź sobą.
Prawdziwym sobą. Nie oszukuj się.**

Prawdziwy ja. Co to w ogóle znaczy? Brzmi jak te pseudo-filozoficzne mądrości z czarno-białych reklam wody kolońskiej. Ale okej, dobra, nie oceniamy. Jak powiedziałyby doktor Sherman, jesteśmy tu po to, żeby odkrywać samego siebie.

Odkrywać: muszę założyć, że ten „prawdziwy” ja jest lepszy ode mnie. Lepszy w życie. Lepszy w ludzi. I mniej nieśmiały. On nie przegapiłby w zeszłym roku szansy na przedstawienie się Zoe Murphy po koncercie zespołu jazzowego. Nie zmarnowałby całego czasu na roztrząsanie, które słowo najlepiej odda jego wrażenia, nie robiąc przy tym z niego stal-kera – wypadłaś świetnie? dobrze? fenomenalnie? olśniewająco? czarująco? profesjonalnie? – żeby potem, wybrawszy bezpieczne „bardzo dobrze”, nawet się do niej nie odezwać ze strachu, że spocły mu się ręce. Co to za różnica? Przecież i tak nie chciałaby podać mu ręki. Jeśli już, to ona pewnie byłaby bardziej spocona od grania na gitarze. A poza tym dłonie pocą mi się wyłącznie wtedy, kiedy zaczynam o tym myśleć, więc zastanawiając się nad tym, tylko pogorszyłem sprawę. No i oczywiście „prawdziwy” Evan nigdy nie zrobiłby czegoś tak żalosego.

Świetnie, znowu pocą mi się ręce. Wystarczyło o tym pomyśleć. Teraz muszę wytrzeć klawiaturę kołdrą. Właśnie napisałem: csxldmrr xsmit ssdegv. Teraz mam już mokrą całą rękę. Skończy się tak, że zapocę się pod gipsem, a bez dostępu powietrza zaraz zalęgna się tam bakterie i pojawi się zapaszek, którego chciałbym za wszelką cenę uniknąć, a już na pewno nie wyobrażam sobie, że ktokolwiek w szkole mógłby go poczuć choć przez sekundę, szczególnie pierwszego dnia w ostatniej klasie liceum. Niech cię

szlag, fałszywy Evanie Hansenie. Naprawdę nie da się z tobą wytrzymać.

Biorę głęboki oddech.

Otwieram szufladę szafki nocnej. Brałem już rano lexa-pro, ale doktor Sherman mówi, że mogę wziąć w ciągu dnia jeszcze porcję lorazepamu, jeśli poczuję, że naprawdę sobie nie radzę. Połykam tabletkę i czekam na ulgę.

Na tym polega cały kłopot z tymi listami. Z początku wyznaczam sobie prosty cel, ale zawsze odbiegam od tematu i zapuszczam się w ciemne, wąskie zaułki swojego mózgu, w których nie czeka mnie nic dobrego.

– Więc postanowiłeś wczoraj po prostu nie jeść kolacji?

Mama stoi nade mną z banknotem dwudziestodolarowym, który zostawiła mi w kuchni.

Zamykam laptopa i wpycham go pod poduszkę.

– Nie byłem głodny.

– Kotku, proszę cię. Musisz się nauczyć zamawiać sobie jedzenie, kiedy jestem w pracy. Przecież wszystko można zrobić online. Nie trzeba nawet z nikim rozmawiać.

To akurat nieprawda, bo trzeba porozmawiać z dostawcą, kiedy zadzwoni do drzwi. Musiałbym dać mu pieniądze i czekać, aż odliczy resztę, a oni zawsze udają, że mają za mało drobnych, więc należy w ułamku sekundy zdecydować, czy dać im mniejszy napiwek, niż się zaplanowało, czy większy – jeśli wybiorę mniejszy, to wiadomo, że będą mnie na odchodnym wyklinać, więc zamiast tego daję większy i zostaję bez kasy.

– Przepraszam – mamroczę.

– Nie przepraszaj. Po prostu powinienes nad tym pracować z doktorem Shermanem. Ćwiczyć rozmawianie z ludźmi. Musisz się bardziej angażować, zamiast robić uniki.

Czy nie o tym właśnie napisałem w swoim liście? Że będę się bardziej otwierać? Przeszanę chować głowę w piasek?

Wszystko to już wiem. Nie musi mi w kółko powtarzać. To tak samo jak ze spoconymi dłońmi: im bardziej człowiek zwraca na to uwagę, tym gorzej.

Mama krzyżuje ramiona na piersi i okrąża moje łóżko. Monitoruje cały pokój, jakby coś się zmieniło od jej ostatniej wizyty, a odpowiedź na wielki problem z Evanem czekała na komodzie albo zwisała ze ściany i wystarczyło się tylko dość uważnie rozejrzeć, żeby ją wreszcie znaleźć. Uwierzcie mi, spędzam tu tyle czasu, że gdyby kryło się tu jakieś rozwiązanie, sam już dawno bym je zobaczył.

Opuszczam nogi na podłogę i wsuwam trampki.

– A skoro już mowa o panu Shermanie – odzywa się znowu mama – umówiłam cię na wizytę po południu.

– Dzisiaj? Dlaczego? Przecież widzę się z nim za tydzień.

– Wiem – przytakuje, wpatrując się w banknot trzymany w dłoni. – Ale pomyślałam, że może przydałaby ci się wcześniejsza sesja.

Bo postanowiłem raz nie zjeść obiadu? Trzeba było po prostu wziąć sobie kasę i o niczym by się nie dowiedziała, ale to byłaby kradzież i dopadłaby mnie karma.

Może chodzi o coś więcej niż tylko niewykorzystane dwie dychy. A co, jeśli roztaczam jakąś szczególnie niepokojącą aurę i nawet nie zdaję sobie z tego sprawy? Wstaję i przeglądam się w lustrze. Próbuję zobaczyć to samo co mama. Wszystko wydaje się w porządku. Guziki koszuli równo zaپیęte. Włosy pod kontrolą. Nawet wzięłem wczoraj prysznic. Ostatnio rzadziej się kąpię, bo pilnowanie, żeby nie zamoczyć gipsu, to straszna mordęga: najpierw muszę go owinąć folią spożywczą, potem włożyć rękę w plastikową siatkę i zakleić wszystko taśmą. Poza tym i tak przecież się nie brudzę. Odkąd złamałem rękę, całymi dniami prześiaduję w pokoju. No i nikogo w szkole nie obchodzi, jak wyglądam.

Dopiero po chwili zauważam w lustrze coś jeszcze: obgryzam paznokcie. Przez cały ten czas je obgryzałem. Okej, prawda jest taka, że od tygodni bałem się tego dnia. Po bezpiecznej letniej hibernacji powrót do szkoły zawsze stanowi torturę dla zmysłów. Przyjaciele witają się po wakacjach, z każdej strony dobiegają okrzyki i wierzące w mózgu piski. Elitarne grupki zbierają się po kątach, jakby wszyscy zainteresowani zostali poinformowani z wyprzedzeniem o miejscu spotkania. Eksplozje śmiechu sygnalizujące zapewne najśmieszniejszy żart w historii ludzkości. Potrafię już się poruszać po tym chaosie, bo dobrze go znam. Bardziej obawiam się rzeczy, których nie mogę przewidzieć. Już w zeszłym roku ledwo udało mi się wszystko ogarnąć, a teraz czeka mnie jeszcze więcej zmian. Nowe ciuchy, gadżety, samochody. Nowe fryzury i kolory włosów. Nowe kolczyki i tatuaże. Nowe pary, orientacje seksualne i tożsamości płciowe. Nowe klasy, uczniowie, nauczyciele. Tyle zmian, a wszyscy wokół prą naprzód jakby nigdy nic. Dla mnie każdy rok to zupełnie świeży, obcy początek.

Mamę też widać w lustrze. Stoi za mną, z kieszeni zwisa jej spersonalizowany breloczek. (Z biegiem lat nauczyłem się podkreślać wartość badziewnych prezentów – kubków, długopisów, etui na telefon – grawerując na nich „mama” albo „Heidi”). Kiedy krząta się po moim pokoju w roboczych ciuchach, bardziej przypomina patolożkę niż pielęgniarkę. Bardzo zmęczoną patolożkę. Zawsze była „młodą matką”, bo urodziła mnie zaraz po skończeniu college’u, ale nie wydaje mi się, żeby ten termin nadal obowiązywał. Ostatnio z jej oczu nigdy nie znika wycieńczenie – mam wrażenie, że to nie tyle kwestia ilości snu, ile tego, że wreszcie zaczyna wyglądać na swoje lata.

– Co się stało z twoimi pinezkami? – pyta.

Odwracam się twarzą do mapy zawieszanej na ścianie. Kiedy zacząłem w te wakacje pracę w Parku Stanowym Ellison, wpadłem na pomysł, że przemierzę wszystkie najlepsze szlaki górskie w kraju: Precipice w Maine, Angels Landing w Utah, Kalalau na Hawajach, Harding Icefield na Alasce. Pozaznaczałem je na mapie pinezkami w różnych kolorach, ale kiedy lato dobiegło końca, postanowiłem je wszystkie zdjąć – poza jedną.

– Pomyślałem, że lepiej działać po kolei. Najpierw chciałbym zaliczyć West Maroon.

– To w Kolorado, prawda?

Widzi linię na mapie, ale mimo to musi usłyszeć potwierdzenie. Proszę bardzo.

– Tak.

W odpowiedzi mama bierze boleśnie ostentacyjny wdech. Unosi ramiona tak wysoko, że praktycznie dotyka nimi uszu, po czym pozwala im znów opaść, jeszcze niżej niż wcześniej. W Kolorado mieszka mój tata. „Tata” to słowo, z którym muszę w domu uważać – podobnie jak z innymi, które mogłyby się kojarzyć z moim ojcem, na przykład „Mark” albo, jak w tym przypadku, „Kolorado”.

Mama odwraca się od mapy i posyła mi spojrzenie, które ma wyrażać odwagę i bez troskę, ale wygląda zupełnie odwrotnie. Jest zraniona, jednak się nie poddaje. No to jest nas dwoje.

– Odbiorę cię prosto ze szkoły – zapowiada. – Piszesz te listy motywacyjne? Naprawdę musisz tego pilnować, kochanie.

Dawniej pisałem jeden list dziennie, bez wyjątku, ale przez lato trochę się rozleniwiłem. Przypuszczam, że mama dowiedziała się o tym od doktora Shermana i dlatego tak mi ostatnio suszy o to głowę.

– Właśnie nad tym pracowałem – zapewniam z ulgą, że nie muszę kłamać.

– To dobrze. Pan Sherman będzie chciał go zobaczyć.

– Wiem. Dokończę w szkole.

– Kotku, te listy są ważne. Pomagają ci budować pewność siebie. Zwłaszcza w takich sytuacjach jak pierwszy dzień szkoły.

Ach, no tak. Kolejna wskazówka wyjaśniająca, skąd ta nagła dodatkowa wizyta u lekarza.

– Nie chcę, żebyś kolejny rok przesiadywał w każdy piątek wieczorem przed komputerem. Musisz znaleźć jakiś sposób, żeby wyjść do ludzi.

Staram się. Przecież to nie tak, że nic nie robię.

Nagle mama dostrzeża coś na biurku.

– Hej, mam pomysł. – Wyciąga z kubka czarny pisak. – Może poprosisz kolegów z klasy, żeby podpisali ci się na gipsie? Doskonały sposób na przełamanie pierwszych lodów, nie sądzisz?

Nie wyobrażam sobie nic gorszego niż takie łapanie przyjaciół na litość. Może powinienem jeszcze adoptować szczeniaka bez oka, żeby siedział ze mną w kącie na korytarzu. Wtedy dopiero byśmy sobie nażebrali nowych znajomości.

Za późno. Już mnie dopadła.

– Synku.

– Mamo, nie mogę.

Podaje mi flamaster.

– Chwytaj dzień. Dziś jest dzień do schwywania.

To brzmi jak horoskop.

– Nie musisz tego dodawać. „Chwytaj dzień” już zawiera w sobie komunikat, że chodzi o „dzisiaj”.

– Mniejsza z tym. To ty jesteś specjalistą od słów. Ja tylko mówię, że taka okazja nie może ci przejść koło nosa.

Unikam jej spojrzenia. Wzdycham i biorę flamaster.

– Okej.

Mama rusza do drzwi. Już mi się wydaje, że jestem bezpieczny, kiedy nagle odwraca się i posyła mi niezręczny uśmiech.

– Już jestem z ciebie dumna.

– Och. Cieszę się.

Jej uśmiech nieco blednie i wreszcie jestem sam.

Co niby miałem jej na to powiedzieć? Twierdzi, że jest ze mnie dumna, ale w jej oczach widzę coś zupełnie innego. Wpatruje się we mnie jak w przebarwienie na wannie, którego nie może się pozbyć, ile by nie szorowała. Dumna? Nie wiem, jak to w ogóle możliwe. Dobrze, w takim razie okłamujmy się dalej.

Nie żeby sesje z doktorem Shermanem jakoś strasznie mi przeszkadzały. Owszem, nasze rozmowy są zamknięte w sztywnych ramach czasowych, nieorganiczne i przeważnie jednostronne, ale jest coś kojącego w samej możliwości porozmawiania z innym człowiekiem. No wiecie, innym niż mama, która jest tak zajęta pracą i szkołą wieczorową, że prawie nigdy nie ma jej w domu, a poza tym i tak zwykle nie do końca słyszy, co do niej mówię, nawet kiedy stara się słuchać (i w końcu to przecież moja mama). Co pewien czas dzwonię do taty, kiedy mam jakieś wieści warte przekazania. Ale on też jest dość zajęty. Kłopot z rozmowami z doktorem Shermanem jest taki, że nie jestem w tym zbyt dobry. Siedzę jak kołek i próbuję wydusić z siebie choćby najprostszą monosylabiczną odpowiedź. Domyślam się, że właśnie dlatego zasugerował to ćwiczenie z pisanem listów do siebie. Powiedział, że to może okazać się lepszym sposobem na wyrażanie uczuć. I że dzięki temu nauczę się trochę wyrozumiałości wobec samego siebie. Podejrzewam, że wymyślił to wszystko głównie po to, by ułatwić sobie pracę.

Otwieram laptopa i czytam, co napisałem do tej pory.

Drogi Evanie,

Czasami te listy odnoszą skutek zupełnie odwrotny do zamierzonego. Mają mi pomagać widzieć szklanekę do połowy

pełną, ale przypominają mi też, że nie jestem taki jak inni. Nikt w mojej szkole nie musi odrabiać pracy domowej dla psychologa. Pewnie nawet nikt poza mną nie chodzi do psychologa. Nikt nie podżera ativanu. Inni nie wiercą się i nie pocą, kiedy ktoś podchodzi za blisko, rozmawia z nimi albo choćby patrzy w ich kierunku. A ich mamie nie zbiera się na płacz, kiedy po prostu sobie siedzą i nic nie robią.

Nie trzeba mi o tym przypominać. Wiem, że nie jestem normalny. Serio, wiem.

„Dzisiaj będzie wspaniały dzień”

Może jeśli tu zostanę, jeśli ani na chwilę nie wyjdę ze swojego pokoju, to rzeczywiście tak się stanie.

„Po prostu bądź sobą”.

Aha. Jasne. Okej.

ROZDZIAŁ 2

Schowałem już wszystko do szafki, ale dalej stoję i udaję, że czegoś szukam. Do dzwonka zostało jeszcze dużo czasu, więc jeśli teraz ją zamknę, będę musiał się odwrócić i przestanę być niewidzialny. Przebywanie wśród ludzi wymaga pewności siebie, odpowiedniego ubrania i wyrazistego, a przy tym swobodnego sposobu bycia. Jestem w tym beznadziejny.

Robbie Oxman (znany jako Rox) jest mistrzem sytuacji społecznych. Zawsze odrzuca włosy z twarzy i stoi z nogami rozstawionymi na szerokość ramion. Wie nawet, co robić z rękami: cztery palce w kieszeniach dżinsów, a kciuki zahaczone o szlufki. Geniusz.

Chcę zrobić to, o co proszą mnie mama i doktor Sherman – wyjść do ludzi – ale po prostu nie mam niczego takiego w genach. Kiedy wsiałem dziś rano do szkolnego autobusu, wszyscy rozmawiali ze znajomymi albo gapili się w telefony. Co niby miałem zrobić? Ciekawostka: kiedyś wygooglowałem „jak znaleźć przyjaciół”, kliknąłem na filmik i przysięgam, że do samego końca nie zorientowałem się, że oglądam reklamę samochodu.

Właśnie dlatego wolę stać do wszystkiego plecami, ale nie da się dłużej uciekać: muszę iść na lekcję.

Zamykam szafkę i nakazuję ciału odwrócić się dokładnie o sto osiemdziesiąt stopni. Opuszczam głowę na tyle nisko, żeby uniknąć przypadkowego kontaktu wzrokowego z kimkolwiek, ale dość wysoko, żeby widzieć, dokąd idę. Kayla Mitchell chwali się przed Freddie Linem nowym niewidzialnym aparatem na zęby. (Mógłbym ich poprosić, żeby podpisali mi się na gipsie, ale nie potrzebuję podpisów od ludzi będących w hierarchii społecznej równie nisko co ja, bez urazy). Mijam Bliźniaczki (nie są spokrewnione, po prostu tak samo się ubierają) i Rosyjskiego Szpiega. (Ja na szczęście nie mam ksywki, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo). Vanessa Wilton rozmawia przez telefon, pewnie ze swoim agentem (wystąpiła w kilku lokalnych reklamach). Na drugim końcu korytarza dwóch byczków dosłownie bije się na podłodze. A przed klasą pana Bailey'a stoi Rox. Jedną rękę zahaczył kciukiem o szlufkę džinsów, a drugą trzyma na talii Kristen Caballero. Ostatnie, co o niej słyszałem, to że jest z Mikiem Millerem, ale on w zeszłym roku zdał maturę. No tak, czas przeskoczyć na następny kwiatek. Zaczynają się lizać. Bardzo na mokro. Nie gap się.

Zatrzymuję się na pit stopa przy poidełku. Już zapomniałem o porannym planie. Pozwól ludziom się zobaczyć, jasne. Jak niby mam to zrobić? Chodzić po korytarzu z racami? Rozdawać darmowe kondomy? Po prostu nie jestem typem „chwytającym dzień”.

Kiedy nachylam się nad strumieniem wody, słyszę nad sobą czyjś głos. Zastanawiam się, kto taki może chcieć ze mną rozmawiać. Przerywam picie i podnoszę głowę. Rzeczywiście, ktoś przy mnie stoi: Alana Beck.

– Jak ci minęły wakacje? – pyta.

Alana siedziała w ławce przede mną na matematyce w zeszłym roku, ale nigdy nie rozmawialiśmy. Czy teraz rozmawiamy? Nie jestem pewien.

– Wakacje?

– Moje były bardzo produktywne – oznajmia Alana. – Byłam na trzech stażach i odrobiłam dziewięćdziesiąt godzin robót społecznych. Wiem, wow.

– No. Tak, wow. To...

– Ale mimo to znalazłam czas na nowych przyjaciół. No, bardziej znajomych. Poznałam taką dziewczynę, Clarisę, a może Carisę, mogłam nie dosłyszeć. I Bryana, pisanego przez „y”. I jeszcze panią P, która była moją tutorką w Narodowym Centrum Kształcenia Umiejętności Przywódczych dla Czarnoskórych Kobiet. I jeszcze...

W zeszłym roku słyszałem głos Alany, wyłącznie kiedy zadawała pytania albo udzielała na nie odpowiedzi – robiła to zresztą nieustannie. Pan Swathchild z początku ją ignorował, ale szybko sobie uświadomił, że nikt poza nią się nie zgłasza, więc w końcu musiał zacząć wywoływać ją do tablicy. Raz po raz. Alana ma w sobie wrodzony rozmach, o jakim ja mogę wyłącznie pomarzyć, nie wspominając o bardzo intensywnym uśmiechu. Mimo to ona i ja mamy dużo wspólnego. Pomimo zaangażowania na lekcjach i gigantycznego plecaka, którym zawsze kogoś potrąca na korytarzu, Alana ma w szkole ten sam status co ja: jest niewidzialna.

„Chwytaj dzień” – powiedziała mama. Dobra, niech jej będzie. Podnoszę zapakowane w gips przedramię.

– Może chciałabyś...

– O Boże – przerywa mi Alana. – Co ci się stało?

Rozpinam plecak i grzebię w środku w poszukiwaniu flamastra.

– Złamałem rękę – wyjaśniam. – Byłem...

– Ojej, naprawdę? Moja babcia w lipcu złamała biodro, jak wchodziła do wanny. Lekarze powiedzieli, że to był początek końca. Bo potem babcia umarła.

– Och... To okropne.

– Co nie? – mówi Alana, choć jej uśmiech nie blednie ani na chwilę. – No, miłego pierwszego dnia szkoły!

Mówiąc to, odwraca się i uderza we mnie plecakiem, wytrącając mi flamaster z ręki. Schylam się, żeby go podnieść, a kiedy wstaję, zamiast Alany widzę przed sobą Jareda Kleinmana.

– Czujesz się dziwnie jako pierwszy człowiek w historii, który złamał sobie rękę od walenia konia, czy uważasz to raczej za sukces? – pyta o wiele za głośno. – Opowiedz mi, jak to było. Siedzisz w pokoju. Światło zgaszone. W tle gra miękki jazz. Odpalasz Instagrama Zoe Murphy na tym swoim dziwnym telefonie marki krzak.

Jared i ja mamy wspólną przeszłość. Jego mama zajmuje się sprzedażą nieruchomości. To ona znalazła nam nowy dom, kiedy tata odszedł. Potem przez kilka lat Kleinmanowie zapraszali nas latem do swojego klubu pływakiego i chodziliśmy czasami do nich do domu na kolację, a raz spędziliśmy razem Rosz Haszanę. Byłem nawet na bar micwie Jareda.

– Chcesz wiedzieć, co tak naprawdę mi się stało?

– Niespecjalnie – prycha Jared.

Coś każe mi to powiedzieć, podzielić się z kimś – może tylko po to, żeby oczyścić swoje imię. Nie, nie szpiegowałem Zoe Murphy na Instagramie. Nie tym razem.

– Tak naprawdę wchodziłem na drzewo i spadłem.

– Spadłeś z drzewa? Jak kasztan?

– Wiesz, że miałem latem praktyki w parku krajobrazowym, nie?

– Nie. Skąd miałbym to wiedzieć?

– No, mniejsza z tym. Jestem teraz tak jakby specem od drzew. Nie żebym się przechwalał. Któregoś dnia zobaczyłem taki niesamowity dwunastometrowy dąb i zacząłem się na niego wspinać, aż nagle...

– Spadłeś? – podsuwa Jared.

– Aha. To zabawna historia, bo jak już polecałem na ziemię, to leżałem tak dobrych dziesięć minut i czekałem, aż ktoś po mnie przyjdzie. Już za chwilę, myślałem, już zaraz ktoś mnie znajdzie.

– I co, znalazł cię ktoś?

– Nie. Nikt po mnie nie przyszedł. Właśnie to jest najśmieszniejsze.

– Jezu.

Jared wygląda, jakby zawstydziło go to bardziej niż mnie, ale spokojnie, wszystko rozumiem. Wiem, jak to żałośnie brzmi, że leżałem i czekałem, aż ktoś przyjdzie mi pomóc. Próbuję się śmiać z własnego frajerstwa, ale nie udaje mi się tego dobrze sprzedać – jak zwykle. Dużo rzeczy kłębi mi się w głowie. Myślę o umierających babciach i wodzie z poidelka, która spryskała mi koszulkę ciemnymi plamkami, i że czeka mnie co najmniej czterdzieści pięć minut konieczności reagowania na imię „Mark”.

Tak kończą się próby rozmowy z Jaredem Kleinmanem – typem, który raz roześmiał się podczas lekcji o Holokauście. Przysięgał, że śmiał się z czegoś zupełnie bez związku z czarno-białymi zdjęciami, które reszcie klasy odebrały dech. Chyba mu wierzę, ale mimo to jestem pewien, że ten gość nie ma sumienia.

Jared jeszcze nie odszedł, więc zadaję mu pytanie podkradzione Alanie Beckman.

– Jak ci minęły wakacje?

– Spoko. Moja drużyna zniszczyła wszystkich w zdobywaniu flagi i zaliczyłem drugą bazę pod stanikiem z taką dziewczyną z Izraela. Po wakacjach tak jakby miała iść do wojska. Wystarczy ci taka odpowiedź?

– Tak sobie myślałem... – Nadal trzymam w dłoni flaster. Nie wiem, dlaczego w ogóle zwracam sobie głowę,

ale mimo to postanawiam spróbować. – Chcesz mi się podpisać na gipsie?

Jared się śmieje. Śmieje mi się prosto w twarz.

– A niby czemu mi to proponujesz?

– Nie wiem. Bo się przyjaźnimy?

– Nasze rodziny się przyjaźnią – poprawia Jared. – To zupełnie co innego i dobrze o tym wiesz.

Czyżby? Grałem z Jaredem w gry wideo na kanapie w jego piwnicy. Nawet zmieniałem przy nim kąpielówki. To on mi wyjaśnił, że nie należy wkładać pod spód bieleziny. Dobra, rzeczywiście już nie spędzamy tak razem czasu i widzujemy się tylko kiedy nasi rodzice organizują odwiedziny, ale te wspomnienia chyba dalej się liczą, nie? Przyjaciel rodziny to, technicznie rzecz biorąc, nadal przyjaciel.

– Powiedz swojej mamie, żeby powiedziała mojej, że byłem dla ciebie miły, bo inaczej rodzice nie dadzą mi kasy na ubezpieczenie samochodu – rzuca Jared na pożegnanie i odchodzi.

Jared jest kutasem, ale to mój kutas – to znaczy nie, nie w takim sensie, nie o to mi chodziło. Po prostu on nie jest jeszcze taki najgorszy. Zachowuje się, jakby był nie wiadomo kim, ale nie jest w tym zbyt przekonujący. Nosi okulary w grubych szylkretowych oprawkach i za duże kolorowe T-shirty, a do tego zawsze ma na szyi wielkie słuchawki, chociaż wszyscy widzą, że nawet nie są do niczego podpięte. Z drugiej strony muszę przyznać, że jego styl jest dziesięć razy lepszy od czegokolwiek, co sam zdołałbym ze sobą zrobić.

Wchodzę do klasy równo z dzwonkiem i wybieram sobie miejsce. (Najchętniej od strony drzwi i w ostatnim rzędzie: blisko do wyjścia i daleko od centrum zainteresowania). Kiedy

się rozpakowuję, wzbiera we mnie lekka duma. Nikt jeszcze nie podpisał mi się na gipsie, ale rozmawiałem już z większą liczbą ludzi niż przez cały wrzesień w zeszłym roku. To się dopiero nazywa chwytać dzień.

Kto wie? Może jednak dziś będzie wspaniały dzień.

ROZDZIAŁ 3

Nic z tego. Wcale nie było wspaniale.

Pierwsza lekcja minęła bezproblemowo – mam na myśli, że nie wydarzyło się nic okropnego. Podobnie kilka następnych. Wszystkie poprawki Marka na Evana przebiegły pomyślnie. Czułem się porządnie, wręcz pozytywnie.

Aż nadeszła przerwa obiadowa.

Nigdy nie byłem wielkim fanem szkolnych lunchów. Za mało tu porządku. Każdy chodzi, gdzie mu się podoba – a najbardziej wszystkim podoba się jak najdalej ode mnie. Zazwyczaj zajmuję miejsce przy zapomnianym stoliku w kącie koło innych wyrzutków i wmuszam w siebie kanapkę z dżemem i masłem orzechowym, taką samą codziennie od dziesięciu lat. (To praktycznie jedyny element przerwy na lunch, który jestem w stanie kontrolować). Ale teraz mam wrażenie, że gdybym usiadł tam gdzie zawsze, to tak, jakbym się chował. Przecież obiecałem sobie, że nie będę się ukrywać. Nie dziś.

Dostrzegam Jareda w kolejce do okienka z jedzeniem. Zazwyczaj siedzi sam i koduje coś na laptopie. Czekam na niego przy kasie. Nie posiada się ze szczęścia na mój widok.

– Znowu ty?

Instykt odpowiada mi, żeby dać mu spokój, ale postanawiam raz w życiu mieć w dupie instykt.

– Pomyślałem, że może usiadłbym dziś z tobą.

Jared wygląda, jakby miał zaraz zwymiotować. Już ma mi oficjalnie odmówić, kiedy nagle znika za mrocznym kształtem. Między nami przechodzi tajemnicza postać znana jako Connor Murphy. Idzie z nisko opuszczoną głową, zupełnie nieświadomy, że przerwał naszą rozmowę. Patrzymy za nim, jak odchodzi.

– Świetna fryzura – mamrocze do mnie Jared. – Widzę, że styl na szkolnego terrorystę znowu w modzie.

Krzywię się.

Connor staje w miejscu, jego ciężkie buty skrzypią na linoleum. Posyła nam spojrzenie spod długich włosów, opadających mu na twarz. Jego oczy przypominają dwa niebieskie promienie śmierci. Nie mam wątpliwości, że słyszał Jareda. Chyba nie jest aż tak nieprzytomny, na jakiego wygląda.

Connor się nie rusza, nie mówi, tylko patrzy. Otacza go taka aura, że aż dreszcz przebiega mi po plecach. Wieczna zmarzlina. Może to dlatego ma na sobie tyle warstw ciuchów, chociaż jeszcze nie skończyło się lato.

Może Jared jest bezczelny, ale nie głupi.

– Ej, przecież tylko żartowałem – mówi.

– Nie no, jasne, bardzo śmieszne – odpowiada Connor. – Przecież się śmieję, nie widać?

Z Jareda trochę schodzi powietrze.

– Nie dość głośno się śmieję? – chce wiedzieć Connor.

Jared zaczyna nerwowo chichotać, a ja mu wtóruję. Nie potrafię się powstrzymać.

– Jesteś nienormalny – rzuca Jared Connorowi na pożegnanie i szybko odchodzi.

Powinienem pobiec za nim, ale nie jestem w stanie zrobić ani kroku.

Connor podchodzi bliżej.

– A ty z czego się cieszysz?

Nie wiem. Kiedy się denerwuję – czyli praktycznie bez przerwy – robię głupie rzeczy.

– Przestań się ze mnie śmiać, przypale.

– Nie śmieję się – bąkam. To prawda. Teraz jestem oficjalnie spetryfikowany.

– Myślisz, że jestem nienormalny?

– Nie, ja wcale...

– Nieprawda.

– Nie chcia...

– Sam jesteś, kurwa, nienormalny.

Wybucha bomba.

Leżę na ziemi, Connor stoi nade mną.

Nie taka prawdziwa bomba. Connor pchnął mnie mocno w pierś obiema rękami, obciążonymi płataniną czarnych bransoletek, aż poleciałem na ziemię.

Kiedy odchodzi, widzę, że jest równie wstrząśnięty jak ja.

Siadam i podnoszę ręce z podłogi. Kurz i piach naniezione przez dziesiątki par butów kleją mi się do wilgotnych dłoni.

Ludzie wymijają mnie, niektórzy rzucają jakimś niezbyt pomocnym komentarzem, ale to bez znaczenia. Nawet ich nie słyszę. Nie mogę się ruszyć. Nawet nie chcę. Bo niby po co? Przypomina mi się, jak spadłem z drzewa w parku Ellison. Po prostu leżałem. Trzeba było zostać pod tym drzewem na zawsze. Mogłem zostać dzisiaj w domu. Czy chowanie się przed światem to rzeczywiście coś złego? Przynajmniej byłbym bezpieczny. Dlaczego bez przerwy to sobie robię?

– Wszystko okej?

Patrzę w górę. Szok. Podwójny. Raz – bo to druga dziewczyna, która się dziś do mnie odzywa. Dwa – to Zoe Murphy. Właśnie ona, jedna jedyna.

– Tak, nic mi nie jest.

– Przepraszam cię za mojego brata psychopatę.

– Nie, spoko, tak się tylko wygłupialiśmy.

Zoe kiwa głową, tak jak moja mama, kiedy musi zajmować się pacjentem żyjącym złudzeniami (czyli mną).

– Wygodnie ci tak na podłodze czy...?

A, tak. Nadal siedzę na ziemi. Dlaczego jeszcze nie wstałem? Podnoszę się na nogi i wycieram dłonie o nogawki spodni.

– Evan, tak? – upewnia się Zoe.

– Evan?

– Tak się nazywasz, prawda?

– Och. Tak. Evan. Jestem Evan. Przepraszam.

– Za co przepraszasz?

– No wiesz, powiedziałaś „Evan”, a ja po tobie powtórzyłem. To strasznie wkurzające, kiedy ludzie tak robią.

– Och. No, okej. Ja jestem Zoe.

Wyciąga dłoń w moją stronę, a ja zamiast ją uściśnąć, tylko macham w odpowiedzi, bo nie chcę, żeby poczuła brud przyklejony do mojej spoconej skóry. Natychmiast żałuję tej decyzji. Jakimś cudem udało mi się sprawić, że ta interakcja stała się jeszcze bardziej niezręczna.

– Tak, wiem.

– Wiesz?

– No, chodziło mi o to, że wiem, kim jesteś. Widziałem, jak grasz na gitarze w zespole jazzowym. Uwielbiam zespoły. I jazz. Nie że każdy jazz, ale zespoły jazzowe są super. To dziwnie zabrzmiało. Przepraszam.

– Dużo przepraszasz.

– Przepraszam.

Szlag.

Zoe się śmieje.

Nie wiem, czym się tak denerwuję – poza tym, że to mój najczęstszy stan emocjonalny i że właśnie zostałem przewrócony na ziemię przez szkolnego ćpuna, który, tak się śmiesznie składa, jest spokrewniony z Zoe. Ale co takiego jest w Zoe, że zupełnie tracę grunt pod nogami? Nie jest przecież jedną z tych pięknych, popularnych dziewczyn albo coś. Jest po prostu normalna. Nie że nudna. Taka... prawdziwa.

To chyba dlatego, że tak długo czekałem na tę chwilę, na szansę, żeby z nią porozmawiać. Od pierwszego razu, kiedy zobaczyłem ją na scenie. Wiedziałem, że jest rok niżej. Mnóstwo razy mijaliśmy się na korytarzu. Ale dopiero podczas tamtego koncertu naprawdę ją zobaczyłem. Gdyby zapytać kogokolwiek, kto tamtego dnia był na widowni – a nie było nas zbyt wielu – co sądzi o występie gitarzystki, pewnie nawet nie wiedziałby, o kim mowa. Gwiazdami wieczoru byli trębacze, po nich absurdalnie wysoki kontrabasista i popisujący się perkusista. Zoe siedziała na uboczu. Nie miała solówki ani nic. Niczym się nie wyróżniała. Może właśnie dlatego poczułem z nią taką więź? W moich oczach na scenie nie było nikogo innego, wszystkie reflektory oświetlały tylko Zoe. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego tak było, ale to prawda.

Od tamtej pory wiele razy oglądałem jej występy. Obserwowałem ją z uwagą badacza. Wiem, że jej błękitna gitara ma odcień kaczego jajka. Na pasku są wyszyte błyskawice. Na podwiniętych nogawkach dzinsów narysowała długopisem gwiazdki. Kiedy gra, wystukuje rytm prawą stopą i mocno zamyka oczy, a na jej wargach tańczy taki nieobecny półuśmiech.

– Mam coś na twarzy? – pyta Zoe.

– Nie, dlaczego pytasz?

– Bo się na mnie gapisz.

– Och. Przepraszam.

Znowu to powiedziałem.

Zoe kiwa głową.

– Lunch mi stygnie.

Coś mi podpowiada, że robiła to już milion razy. Że zawsze, kiedy jej brat coś odwali, ona musi po nim posprzątać. Teraz, kiedy już upewniła się, że nic mi nie jest, może znów zając się własnymi sprawami. Ale ja nie chcę być w jej oczach tylko kolejnym problemem.

– Czekaj – wołam za nią.

Zoe się odwraca.

– Co?

Odsłoń się, Evan. Powiedz coś. Cokolwiek. Że lubisz Milesa Davisa albo Djanga Reinhardta, któregoś z tych sławnych gości od jazzu. Zapytaj, czy ona też ich słucha. Opowiedz o tym dokumencie o muzyce dance, który obejrzałeś ostatnio online, i że potem sam spróbowałeś nagrać własny kawałek, ale oczywiście wyszło koszmarnie, bo nie masz za grosz talentu. Daj jej coś, cokolwiek, jakiś kawałek siebie, coś wartego zapamiętania. Poproś, żeby podpisała ci się na gipsie. Nie wstydz się. Nie bądź „meh”. Nie rób tego, co zamierzasz właśnie zrobić.

Wbijam wzrok w podłogę.

– Nic – bąkam.

Ona czeka jeszcze kilka sekund, po czym porusza palcami stóp w wysłużonych trampkach, jakby machała nimi na pożegnanie, odwraca się i odchodzi. Patrzę za nią, liczę jej kroki.

Kiedy wreszcie zabieram się do jedzenia, odkrywam, że upadek rozpląszczył nie tylko moje i tak już cienkie jak papier ego, ale też kanapkę z dżemem i masłem orzechowym.

*

Esemeś od mamy przychodzi, kiedy siedzę w sali informacyjnej. Prosi, żebym do niej zadzwonił. Cieszę się z wymówki do przerwania pracy. Od dwudziestu minut gapię się na pusty ekran.

Próbuję skończyć list dla doktora Shermana. Kiedy zacząłem do niego chodzić w kwietniu, pisałem list każdego poranka przed pójściem do szkoły. To stało się częścią codziennego rytuału. Raz w tygodniu pokazywałem listy panu Shermanowi, i choć sam nie wierzyłem w ani jedno zawarte w nich słowo, czułem pewną dumę na widok pliku kartek w jego dłoniach. Oto ja. Moja praca. Sam to napisałem. Po jakimś czasie jednak terapeuta przestał prosić o listy, a ja w końcu przestałem je pisać. Nie żeby w ogóle działały. Nic się z ich powodu nie zmieniło.

Lato przyniosło nową rutynę, w której zabrakło miejsca na pisanie. Po jakimś czasie doktor Sherman wreszcie zorientował się, że opuszczam pracę domową. Teraz znów każe mi przynosić listy, a jeśli nie skończę tego, który dziś zacząłem, to nie będę miał mu nic do pokazania. Już to przerabialiśmy – zdarzyło mi się przyjść z pustymi rękami, kiedy on oczekiwał listu. Raz zostawiłem jedyną zapisaną przez cały tydzień kartkę w domu. Nigdy nie zapomnę spojrzenia, jakie mi posłał. Starał się zachować neutralny wyraz twarzy, ale nie ze mną te numery. Po tylu latach bycia sobą jestem prawdziwym wirtuozem wychwytywania choćby najdrobniejszej sugestii rozczarowania w oczach innych. To widok nie do zniesienia.

Muszę coś mu dziś pokazać, a do tej pory mam tylko „Drogi Evanie Hansenie”. Skasowałem wszystko, co napisałem rano. Całe to pieprzenie o byciu prawdziwym sobą. Napisałem to, bo wydawało mi się, że dobrze brzmi, i tyle.

No jasne, brzmiało świetnie. Fantazje zawsze są miłe i przyjemne, ale w niczym nie pomagają, kiedy przychodzi rzeczywistość i powala człowieka na ziemię. Kiedy płacze język i wymazuje wszystkie właściwe słowa. Kiedy trzeba znów przesiedzieć całą przerwę obiadową w samotności.

Tylko jedna rzecz dzisiaj się udała. Zoe Murphy zwróciła na mnie uwagę, a nawet mnie rozpoznała. Wiedziała, jak mam

na imię. Mój mózg nie jest w stanie tego w ogóle przyswoić, tak jak obrazu stereoskopowego czy idei czarnej dziury. Nadal jestem oszołomiony naszą krótką rozmową, a już martwię się, że zaprzepastałem wszelkie szanse na następną.

Dzwonię do mamy. Po kilku sygnałach zamierzam się rozłączyć, ale wtedy ona wreszcie odbiera.

– Cześć, skarbie. Słuchaj, wiem, że miałam cię podwieźć na wizytę, ale utknęłam w szpitalu. Erica zadzwoniła, że zła-pała ją grypa. Poza mną nie ma dziś nikogo do pomocy pielęgniarskiej, więc zgodziłam się wziąć jej zmianę. Dziś rano zapowiedzieli kolejne cięcia w budżecie, więc muszę pokazać, że jestem częścią zespołu, rozumiesz, prawda?

Jasne, rozumiem. Zawsze jest częścią zespołu. Tylko jakoś tak się składa, że nigdy nie gra w mojej drużynie. Bardziej przypomina trenerkę, która przed meczem wygłasza porywające przemowy, a kiedy rozlega się gwizdek i wchodzi na boisko, nagle znika z pola widzenia.

– W porządku – zapewniam. – Pojadę autobusem.

– Świetnie. Doskonale.

Może w ogóle zerwę się z dzisiejszej sesji. Przecież nawet o nią nie prosiłem. Koniec z chwytnością dnia.

– Prosto z pracy jadę na zajęcia, więc wrócę późno. Proszę cię, zjedz coś. W zamrażarce są pierogi.

– Okej.

– Skończyłeś pisać ten list? Doktor Sherman spodziewa się, że go dziś przyniesiesz.

Mam już absolutną pewność, że rozmawiali na ten temat.

– Aha, no. Właśnie skończyłem. Jestem w pracowni komputerowej, zaraz go wydrukuję.

– Mam nadzieję, że dobrze ci minął dzień, kochanie.

– Mhm. Tak. Było super. – Jeszcze tylko dwie lekcje.

– Świetnie. Bardzo się cieszę. Oby to był początek wspa-niałego roku. Chyba obojgu nam by się taki przydał, co?

Tak, ale nie mam czasu nawet o tym pomyśleć, a co dopiero powiedzieć.

– Kurczę, synku, muszę lecieć. Kocham cię, pa!

Nagle przerywa połączenie.

Zostawia mnie z tak wszechogarniającym poczuciem samotności, że za chwilę przeleje mi się oczami. Nie mam nikogo. To niestety już nie jest fantazja, lecz naturalna, stu-procentowo organiczna, nieprzetworzona rzeczywistość. Jest jeszcze doktor Sherman, ale on kasuje od godziny. I ojciec, ale gdybym go obchodził, to nie przeprowadziłby się na drugi koniec kraju. I mama – ale nie dziś, nie wczoraj ani przed-wczoraj. Poważnie, kiedy można uznać, że ktoś jeszcze jest obecny w twoim życiu, a kiedy już nie?

Na ekranie komputera widzę tylko jedno imię: Evan Hansen. Ja. To wszystko, co mam.

Kładę dłonie na klawiaturze. Koniec z kłamstwami.

Drogi Evanie Hansenie,

okazuje się, że dziś jednak wcale nie był taki wspaniały dzień. To nie będzie wspaniały tydzień ani rok. Niby dlaczego miałbym w ogóle jeszcze w to wierzyć?

Ach tak. Jest jeszcze Zoe. Cała nadzieja w Zoe, która nawet mnie nie zna, a ja nie znam jej. Ale może gdybyśmy się jakoś do siebie zbliżyli, gdybym mógł z nią po prostu porozmawiać tak naprawdę, może wtedy... A może nic by to nie zmieniło.

Chciałbym, żeby wszystko wyglądało inaczej. Chciałbym być częścią czegoś. Żeby moje

**słowa miały dla kogoś jakieś znaczenie.
No wiesz, bądźmy szczerzy: gdybym jutro
zniknął, czy ktokolwiek by zauważył?**

**Z pozdrowieniami, Twój najlepszy
i najbliższy przyjaciel
ja**

Nawet nie zawracam sobie głowy czytaniem. Wciskam „drukuj” i zeskakuję z krzesła. Czuję nagły przypływ energii. Kiedy to pisałem, coś się wydarzyło. Jakie to niesamowite uczucie: móc powiedzieć dokładnie to, co się czuje, bez zastanowienia i domysłów. Okej, teraz zaczynam się nad tym zastanawiać, ale kiedy przelewałem słowa na ekran, nie wałęsam się ani przez chwilę, wykonałem całą czynność w jednej płynnej sekwencji ruchów.

Teraz jednak uświadamiam sobie, że powinienem natychmiast podrzeć ten list na strzępy i wyrzucić go do śmieci. Nie mogę pokazać czegoś takiego doktorowi Shermanowi. Ciągłe każe mi szukać w sobie optymizmu, a z moich słów na kilometr bije smutek i beznadzieja. Wiem, że powinienem dzielić się z terapeutą swoimi uczuciami, że mama byłaby wtedy ze mnie zadowolona, ale przecież oni nie są zainteresowani, co tak naprawdę we mnie siedzi. Chcą tylko, żeby wszystko było ze mną w porządku albo żebym przynajmniej tak im powiedział.

Odwracam się i ruszam do drukarki, ale o mało nie wpadam na Connora Murphy’ego. Krzywię się w oczekiwaniu na kolejne pchnięcie, jednak on trzyma ręce przy sobie.

- No, powiesz mi, co ci się stało?
- Słucham?
- W rękę. - Connor zerka na gips.

Opuszczam głowę, jakbym chciał potwierdzić, że faktycznie o to mu chodzi. „A, to?”

– Miałem przez całe lato praktyki w parku Ellison i któregoś dnia rano na obchodzie zobaczyłem taki niesamowity dwunastometrowy dąb, zacząłem się wspinać i... no, spadłem. Ale to w sumie dość zabawna historia, bo potem przez dobrych dziesięć minut leżałem na ziemi i czekałem, aż ktoś po mnie przyjdzie. Już za chwilę, myślałem, zaraz ktoś mnie znajdzie. Ale nikt nie przyszedł, więc...

Connor tylko na mnie patrzy. Po chwili uświadamia sobie, że skończyłem, i zaczyna się śmiać. Udawałem, że właśnie takiej reakcji na „zabawną” historię się spodziewam, ale teraz muszę przyznać, że zupełnie nie o to mi chodziło. Może to ma być zemsta za to, że śmiałem się z niego na stołówce? Nie, to nie brzmi jak rewanż.

– Spadłeś z drzewa? – upewnia się Connor. – Kurwa, to najsmutniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałem.

Nie mogę zaprzeczyć.

Connor wygląda na o wiele starszego ode mnie – może to przez kilka pierwszych włosów na brodzie, a może przez zapach papierosów, którym przesiąkała jego bluza, przez czarny lakier na paznokciach albo fakt, że ponoć wywalili go z poprzedniej szkoły za narkotyki. Tak czy inaczej, mam wrażenie, że jestem chłopcem, a on mężczyzną. Wiem, że to trochę dziwne, bo stojąc tuż przed nim, dostrzegam, że jest strasznie chudy. Gdyby nie te wielkie buciory, może nawet byłby ode mnie odrobinę niższy.

– Mam dla ciebie dobrą radę – oznajmia. – Wymyśl sobie lepszą historię.

– No, chyba powinienem – przytakuję.

Connor spuszcza wzrok. Ja też.

– Mów ludziom, że pobiłeś się z jakimś rasistą – mówi bardzo cicho.

– Że co?

– *Zabić drozda* – wyjaśnia.

Obowiązkowy tytuł – szczególnie dla tych, którzy pragną, by ich odnaleziono.

BECKY ALBERTALLI

autorka bestsellerowych powieści *Twój Simon*
oraz *Leah gubi rytm*

Samotny i nieśmiały Evan Hansen za namową terapeuty pisze do siebie listy, które mają go podnieść na duchu. Zawsze rozpoczyna je zwrotem: „Drogi Evanie Hansenie”. Jeden z tych listów przypadkiem trafia do Connora, szkolnego buntownika. Evan jest przerażony i przekonany, że teraz wszyscy poznają jego tajemnice.

Wkrótce po tym Connor popełnia samobójstwo. Odnaleziony przy nim list zostaje wzięty za niewysłaną wiadomość do Evana, który tym samym przez pomyłkę zostaje wzięty za jego jedyne przyjaciela. Pograżona w żałobie rodzina, chcąc zrozumieć postępowanie Connora, nawiązuje znajomość z Evanem. Chłopak zyskuje zainteresowanie i przyjaciół, nawet dziewczyna, która bardzo mu się podoba, zwraca na niego uwagę.

Kłamstwo odmienia jego życie – w końcu gdzieś przynależy. Jednak wszystko ma swoją cenę. Teraz musi zmierzyć się z konsekwencjami swojego postępowania oraz z własnymi problemami. Bo mimo że Evan nie przyjaźnił się z Connorem, rozumie lepiej niż ktokolwiek inny, dlaczego popełnił on samobójstwo...

E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-7515-556-3



Cena detal. 39,90 zł

moondrive